

ŚWIATOPELK KARPIŃSKI

POEMAT  
O  
WARSZAWIE



MCMXXXVIII  
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

POEMAT O WARSZAWIE

**TEGOŻ AUTORA:**

„LUDZIE WŚRÓD LUDZI“ — poezje — 1932

„MIESZCZAŃSKI POEMAT“ — poezje — 1935

„TRZYNASCIE WIERSZY“ — poezje 1936 —  
Nagroda Młodych Polskiej Akademii Literatury

„KREDĄ NA PARKANIE“ — satyry i humoreski — 1937

„SCIANA ŚMIECHU“ — humoreski — 1938

**W PRZYGOTOWANIU:**

„APOLLO I DZIEWCZYNA“ (poemat)

„KSIĘGA SNOBÓW“ (satyry)

001

ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI

POEMAT  
O

WARSZAWIE

*Bohaterom i Wieloletniemu  
z Setuleczni zyciowi  
Swiatopełk  
Karpiński  
Warszawa, 1938.*



MCMXXXVIII  
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA



18858/II

K 161/73

## P R O L O G

*Poezjo, kędy wicher skrzydła z turni strąca,  
Jak słowo przezroczysta, jak ciało gorąca,  
Zanim kiedyś w epickie umieciesz mnie zawieje  
Uchyl cynowej misy, niech się mowa leje  
Potokiem, co mi taflę ciszy rozkołysze,  
Od ust—strzelistym łukiem—do strof, które pisze,  
A na ostatniej karcie tego poematu  
Niechaj wiersz się z „Sofiówką” całuje cytata,  
Niby z prastarą rzeką tej klasycznej mowy —  
Od strony skalnych natchnień—bratni dopływ nowy...*

*Będzie rzecz o Warszawie... Nim nożyce Parki  
Przetną mi nić żywota, na swe wątle barki  
Biorę ten trud niemały, żeby dłonią drżącą  
Zamknąć obraz stolicy w obrazach tysiącu.*

*Nie jestem z tego miasta. Moje gwiazdy pierwsze  
Załobił dym kominów, zakwefiając wiersze  
O czarnej i złej Łodzi, która z hukiem pali  
Swe ceglaste godziny na fabrycznej hali.*

*Dziś, odkąd do stolicy wwiodył mnie nadzieje,  
Jej tży rymuję łzami, śmiechem jej się śmieję,  
Sławię te strome bloki i w strzepakach rudery,  
Sterczące obok siebie, jak zmieszane sfery—  
Te ulice, po których już chodzili w cieniu  
Ci, co dzisiaj je zdobią wykuci w kamieniu  
I patrzą na przechodniów, odgadując z góry,  
Którego z nich ma przyszłość zakuć znów w marmury.  
Te doliny wieczorów i wzgórze—poranki...  
Jej dzień do siostry równam, a noc do kochanki,  
I wielbię Cię Warszawo, tak bogato zgrzebna,  
Że kto Cię raz powitał, nigdy nie pożegna...*

P O E M A T





Tacy smutni i tłumni idziecie przez życie,  
Że opuszczacie głowy i w ziemię patrzycie.  
Spójrzycie śmiechem w niebo, ustami do góry,  
Na dachy, co na strzępy rwą warszawskie chmury.

Dachy na głowach domów są — porównać muszę,  
Niby na szczytach strojów różne kapelusze.  
Jedne zawile w kroju, w myśl dawnej urody  
Nakrywają domostwa starożytnej mody,  
Z lotu ptaka je dojrzysz, kiedy bez ordynku  
Skaczą jedne przez drugie, aż na Starym Rynku  
Zwarte w cizbę, sterczące — kamienny prostokąt —  
Patrzą, głowa przy głowie, ale na co?... Dokąd?...

Stare nakrycia domów z ubiegłych stuleci,  
Gdzie obok nietoperzów fruwały poeci...  
Na tutejszych poddaszach miauczały księżycy...  
Tu nocowały gwiazdy, gdy szedł świt w ulice,  
A zamiast anten zwisał gąszcz pajęczyn płowych,  
Nawijanych na szpulki przez duchy krawcowych.

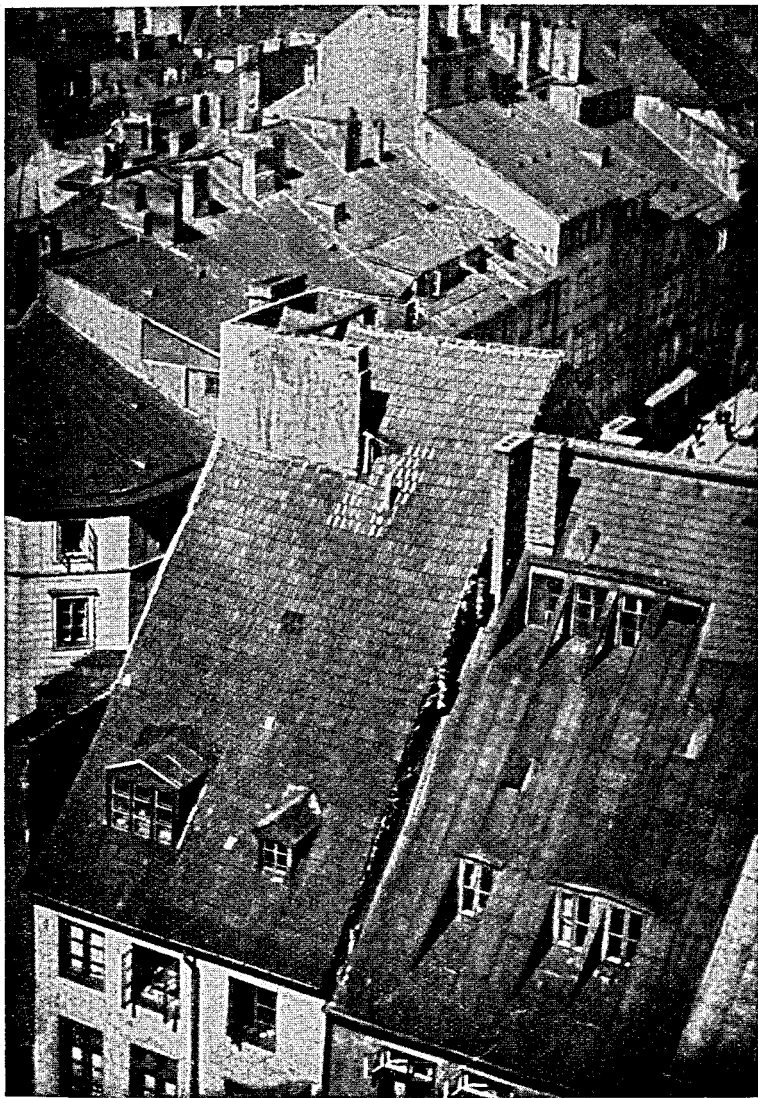
Dalej dachy Powiśla... Tutaj tratwy dachów  
Płyną wezbrany brukiem do wiślanych piachów,  
Wrony krążą jak mewy, maszty w wietrze nucą...  
To port, z którego fale uszły i nie wrócą.

A inne?

Dachy Hożej, Wspólnej, Wróblej dachy  
O! Namioty mieszczaństwa ze świszczącej blachy,  
Szumiące sponad domów, jak garnków pokrywy...  
Unieś.. A buchnie odwar. duszny i szczęśliwy...  
(Przed bramą, kiedy nuda łamie się z niedzielą,  
Stoi ślubna karetą, wsiada frak i welon).

W tych stronach rowy ulic, niebem w dachach cięte,  
Trwają jak równe grzędy—nie strumienne, kręte.  
Na nich kostki kominów rozrzucone sino,  
Ażeby kominiarze grywali w domino.

Niech opadną gołębie z obłoków Warszawy,  
Na Hożej znajdą dzisiaj błękitniejsze sprawy,  
Na Wspólnej i na Wróblej zamieszkać powinny,  
Skrzydłami bić o szyby i nurkować w rynny,  
I spadać na ulice, płosząc brudne dzieci,  
I rozkwitać trzepotem, gdy wóz wiezie śmieci,  
Ale nigdy nie wędnać wśród zimowych oków,  
Bo gołębie—to pąki, to kwiaty obłoków...





A co to są obłoki? Myślę proszę państwa,  
Że westchnienia poezji na niebach mieszczaństwa.

Tak! Dachy romantyczne, staromodne dachy,  
One wiedzą, jak schody, na współczesne gmachy,  
Kędy dach jak stół prosty masywny i gruby  
Nakrywa światłocienie, sześciany i kuby.  
Szkło w betonie, a słońce w tym szkłe o wieczorze  
Tonie jak złota lilja na czarnym jeziorze.  
Błoki pełne oddechu, w niebie wyrąbane,  
Gdzie metal geometrje trzyma w ryzach szklane.

Oto są «Szklane Domy». Trwają w równych szybach,  
O nich to ongi marzył Cezary Baryka,  
Aż zaciskając pięści, jak żeglarz u steru  
Prowadził nawę tłumu do bram Belwederu.

Dzisiaj w sannie tramwajów, w koncercie klaksonów,  
Gdy noc polyka słodkie landryny neonów  
I miasto wyschle usta ulic ciszą płucze,  
Śnieżyca orlem białym w zaułkach się tłucze,  
Wichura smaga jezdnie, mróz do bram się skrada,  
A dachy płyną... jadą... Skalista armada...  
Dokąd?

...Styczniowa ciemność białą nutą śpiewa...

— Tam?

...W lazienkowskim parku pustka, śnieg i drzewa...

Płyną...

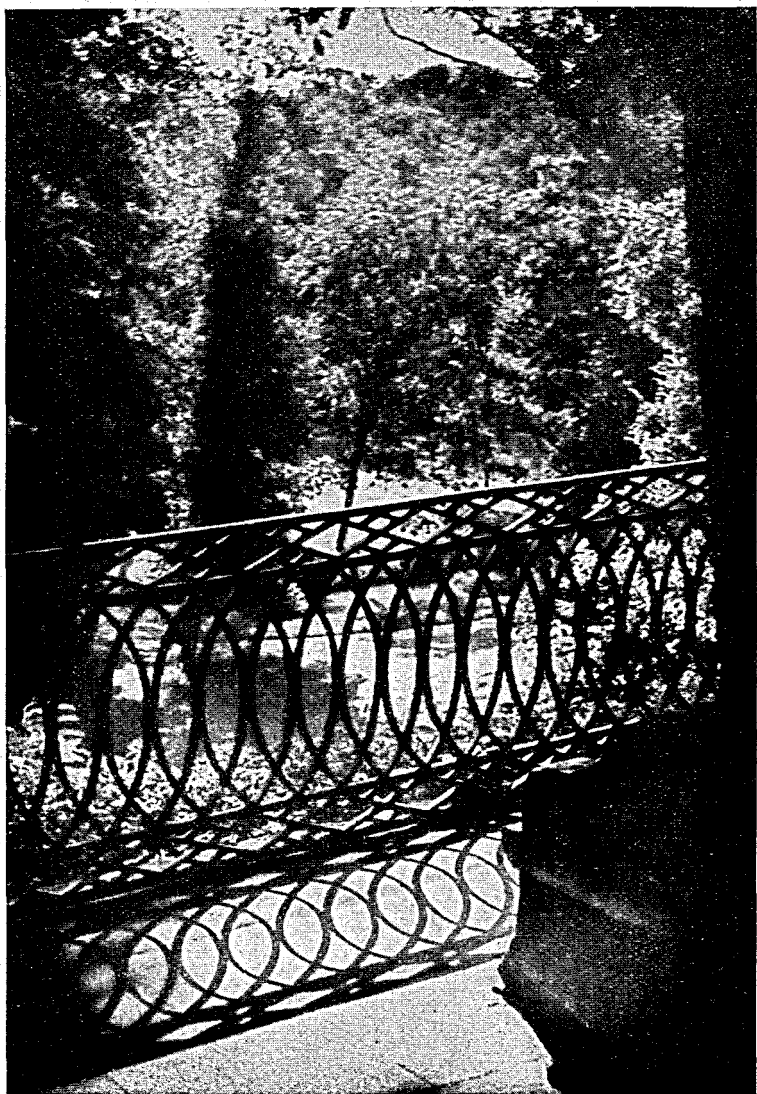
Z Hoże, z Podwala... Z Powiśla i z Alej,  
Minęły plac Trzech Krzyży... Płyną jeszcze dalej...  
Domy, czy może groby?...

...Pochód ich miarowy...

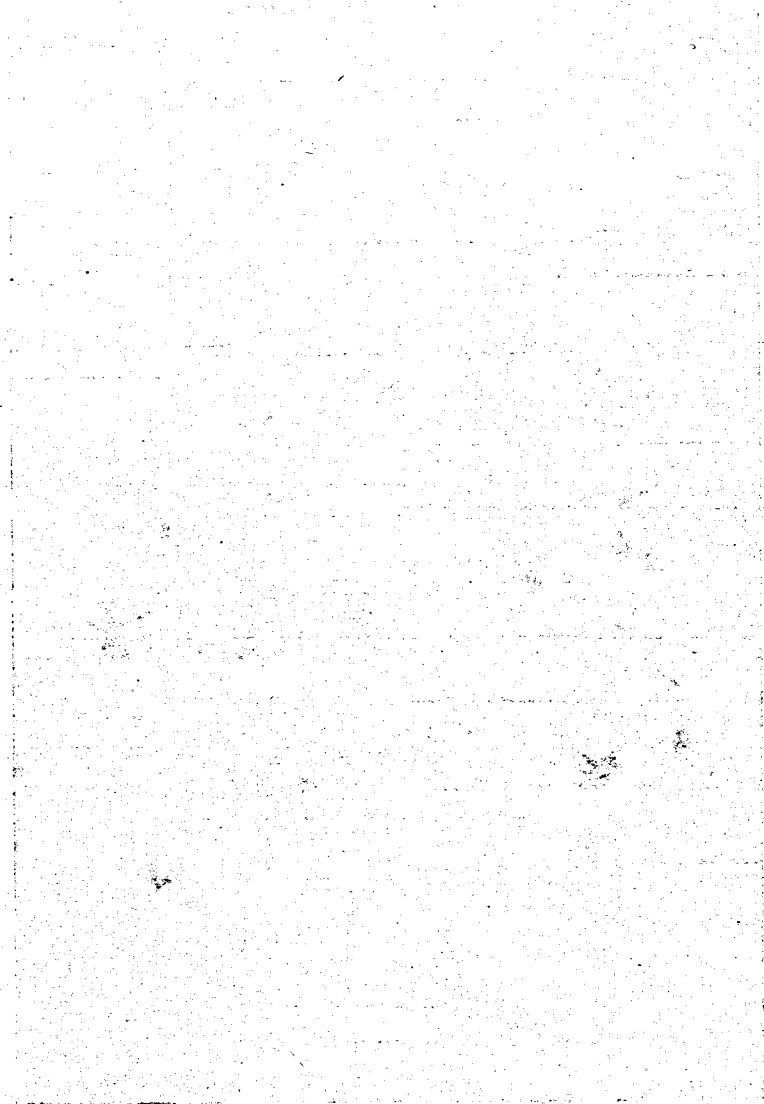
Aż pochylają dachy, niby czapki z głowy,  
Przed dworem z drzew parkowych, szklącym się siwizną,  
Kędy zamieszkał Człowiek, który był Ojczyzną.

Te kolumnady ganku—ubrane w ogrody,  
Jak w leśne wieńce kędy szum—liści rapsody  
Koncertem starych wiązków, bukietem kasztanów,  
O dziejach swych dziedziców i chwilowych panów,  
Aż na srebrne kolumny sine cienie kładzie,  
Niby motyle nocy na dnia kolumnadzie,—

Kiedy mijasz wzruszony i wejdiesz na taras,  
Bliskość pól za drzewami czujesz w sercu zaraz,  
Bo przybywasz wprost z miasta do wiejskiego dworu,  
Gdzie wszystkie okna komnat w oczy sielskość biorą,  
Każda noc się gwiazdami ku posadzkom czai  
I myśli ci bezsenne we wspomnienia mai:  
Oto księżyc sprzed laty w ówczesne promienie  
Spowija błady pałac i parku sinienie,  
Na szybach Belwederu sen się czerni z nocą,







Jedynie jedno okno światła lampy złości,  
A przez nie Cień zgarbiony, surowy i szary,  
Kładzie się na uspione, słowiańskie bezmiary,  
Otula polne dale, rzeki, knieje kryje,  
Nad Kraków głowę skłania, sercem w Wilnie bije,  
Nad cały brzask tej ziemi świtem się rozsuwa...  
I zbudziła się Polska, a On jeszcze czuwa,  
Aż słońce wyjdzie z mroku, który jest nad nami...

Ciemno nam, gdy Belweder z czarnymi szybami.

Noc się do lamp naląa, niby sen do źrenic,  
Girlandy światel spadły jak wieńce z kamienic.  
Siny mrok na ulicach, aż po dachy leży,  
Księżyc spogląda z góry, jak turysta z wieży  
I zwolna się dopala... Jedyny... Wysoki...  
Bledszy pod gęstym niebem niż nocne obłoki.  
Wtedy leśne ciemności, wtedy cisze wiejskie  
Na wylot przepływają przez godziny miejskie,  
Aż z nocy granatowej, jak reflektor z morza,  
Pastelowym pożarem wyróżzowi zorza.  
I oto znowu domy widzisz i ulice,  
Sine, jak uśmiech śpiących, niejasne, jak szkice.

Najpierwsze kół turkoty bulgocą daleko:  
To wozy świt przywożą, wioząc w bańkach mleko.

Po jaskrawych jaskiniach, w muzycznych pieczarach  
Jeszcze nocą wiruje walc w pijanych parach,  
A już po śliskiej jezdni goni z opon sykiem  
Policjant rowerowy za babą z koszykiem.

Białe anioły sklepów pod zaluzje włączą,  
Kładą skrzydła na wagach i warzywa ważą.  
Wstydlive ranne słońce pali już rumieniec,  
W domach budzą się windy, te serca kamienic.  
Jakieś stopy po schodach grają wczesne gamy,  
I ludzi, niby pestki, wypluwają bramy...

Wtedy w halach targowych gwar jak słońce wschodzi,  
Stragany giną w tłumie, jak wioska w powodzi,  
Już tysiąc rąk się w koszach pełnych jarzyn nurza;  
Poprzez stogi owoców idzie wrząca burza.  
Drób wzbil śnieżyce pierza. Wreszcie tłum odpływa...  
Jeszcze nad brukiem kura fruwa na wpół żywa,  
Jeszcze na krwawej ladzie srebrna ryba tańczy,  
A już ktoś zbiera z ziemi kilka pomarańczy.

W tej chwili śpiewające, czerwone tramwaje,  
Rozwożą ku przysgodom jak w dalekie kraje.  
U dobrych konduktorów kupimy przesiadki,  
Na ostatnim przystanku by się przesiąść w kwiatki,  
W te bzy, jak lzy słowicze, w wilgotne jaśminy,

I w niebiańskie minuty i w zielne godziny...  
Całować młode wargi, zrywać mokre chabry...  
Lecz nie... do biur jedziemy, do szkół i do fabryk!

Oto swój dzień powszedni trawić już zaczyna  
Miasto sterczące z równin, jak z kwiatów maszyna;  
Wy; cząsteczki składowe, jadące w tramwajach,  
Nie śnijcie o błękitach, uśmiechach i majach.  
Hej! Mutry w melonikach, śrubki w kapeluszach  
Spieszcie, bo motor miasta zaraz z szumem rusza...  
Ósma za trzy minuty... Czas tu się nie cofa...  
Nie traficie na miejsca—będzie katastrofa...

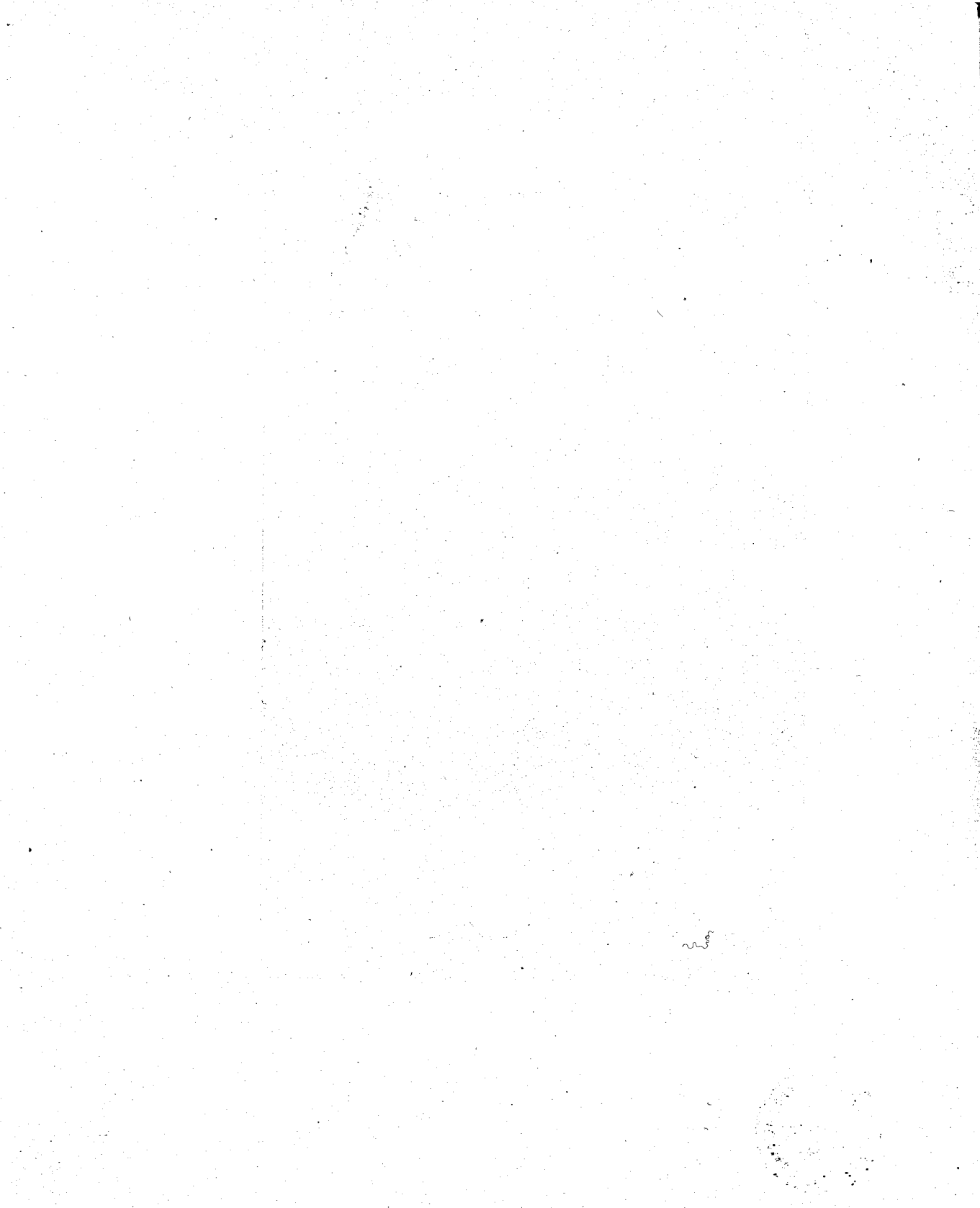
Teraz w stronę obłoków, co na dachach leżą,  
Usta ulic w uśmiechu rzędy domów szczerzą,  
Szyby dzwonią o szyby w blasku i błękicie,  
Drzwi tańczą na przeciągach i tak się wietrzycie  
O, zatęchłe mieszkania, jak groty na wietrze  
Z lopotem stalaktytów... Powietrze... Powietrze...  
A po pustych pokojach, stoły, krzesła, łóżka,  
Łażą wkółko... Sprzątanie... Aż pierwsza poduszka,  
A za nią wszystkie inne od kuchennej strony  
Jak krowy na pastwiska włączą na balkony.  
Nieraz wtedy pytamy, widząc, że się bielą:  
Czy pościel—obłokami? Obłoki—pościelą?

Oto na jasnych żaglach wydętych firanek  
Odkotwiczone domy opuszczają ranek,  
Odbijają od jezdni, jak z portów fregaty,  
W migotliwe południa, w płonące klimaty.

Już dyszy złotym pyłem, jak zapachem morza,  
Królewska, Marszałkowska, Wspólna, Wróbla, Hoża...  
Zatraskują się okna wszystkie w całym mieście,  
Od drzwi i od firanek wiatr odpływa wreszcie,  
Sprzęty są już na miejscach, a z balkonów owych  
Powracają poduszki, jak leniwe krowy.  
Jeszcze gdzieś fruująca po oknach dziewczucha  
Skrzydłami ścierek w szyby tłucze, niby mucha,  
A już miasto podpływa, jak nad złotą studnię,  
Nad pachnące gorącym asfaltem południe,  
A słońce, jak drwal jasny przez szyby się wdziera  
I w posadzkach siekierą przeręble otwiera.

Gdy wśród ceglastych godzin pragniesz leśnej chwili,  
Szum wilgotnych ogrodów gąszczów ci uchyli.  
Przywabia cię gałęzie przez ogrodzeń kraty,  
Liściastymi łapami z traw zrywając kwiaty,  
Rozpruje ci się zieleń na kręte ścieżyny  
I pójdziesz... Z polną nutą do miejskiej godziny...  
Przez te łąki w doniczkach o brzegach różowych,





Zgarniając sponad głowy deszcz liści majowych,  
Które roją drzewa aż na dno wilgoci.  
Mijając groty cienia, gdzie się słońce złoci,  
Wisząc u szpar poszycia, niby stalaktyty,  
Wyjdiesz owiany lasem i z miasta omyty  
Nad trawniki błękitne jak żółte sadzawki,  
Tam, zygzakiem zmęczenia przetniesz faldę lawki,  
Lekko zdejmiesz kapelusz i jakże bezradnie  
Pomyślisz, że są młyny i że na wsi ładnie...

Turkot miasta zacichnie ukwiecony w dali,  
A mózg odległy obraz znajdzie i utrwali:  
Stoisz nad stawem z flintą, cichy naksztalt drzewa,  
Od wieczorowej wody koncert trzciny ci śpiewa.  
W czerwonym zrębie słońca skwierczy rój komarów,  
Leniwiej mgły się snują, niżli kurz przez parów  
I tańczą tataraków niebieskie płomienie...  
— Dalej już jak w zwierciadle widzisz to wspomnienie:  
Wachlarz szumu nad głową i zryw dubeltówki...  
Srebrnym nurtem po niebie... Cyranki?... Krzyżówki?...  
I wystrzał w serce wiatru... Teraz pojdziesz może,  
Że ten strzał był na jezdni, że w karburatorze,  
Że tutaj są Łazienki... Wstań, zostaw te lawy,  
Jak książki wpółotwarte, którychś nie ciekawy,  
Niech je czytają owe marzenia leniwe





W szkolnych czapkach, w beretach, lub te oczy siwe,  
Co w żwirze wypatrują ćwierkliwych rozruchów,  
By starczą ręką zwawo usypać okruchów.  
I śmignijmy w głąb parku, jak beztroskie dzieci,  
By spotkać się w klimacie minionych stuleci,  
Przy pałacu w obłokach, rzeźbionym z marmuru,  
Łabędziom na mieszkanie, kolibrom do wtóru,  
Tak lekkim, że sąsiedni staw się ani skłoni,  
Gdy odbicie kolumnad nosi jak na dłoni.

Pierwszego tu wrażenia nikt nigdy nie zatrze,  
Że nie wiesz czy na jawę patrzysz czyś w teatrze...  
Czy z za zielonych kulis ku' martwej widowni,  
Z łbem kosmatym a rudym jak płomień u główki,  
Nie wpląsa faun zbudzony u najbliższej studni  
I kopytami w marmur rzęsiście zadudni,  
Aż jędrnej trzon kolumny ogonem owinie  
I zagra na patyku, jak na okarynie...  
A wtedy z piwnic stawu, jak spod mroków sceny  
Na oleodruk wyjdą warszawskie Syreny...  
Ale to chwila jeno i mija wrażenie,  
Oto prawdziwe życie choć życie na scenie:  
Posągi tu w klonowiu sterczą jak w jesieni  
I zółkną kryjąc nagość w strzępy sinych cieni,  
Murszeją na zielono, grzybieją na złoto,



A labędzie jak gęsi włączą się z tęsknotą,  
Obkladają trawniki, jak białe anioły,  
Leniwie śledzą dzieci, co zwały ze szkoły...  
Wstają... Człapią po ścieżkach... Chcą się bawić piaskiem,  
Aż nagle drzwi pałacu wiatr otwiera z blaskiem,  
Więc kładą się wpatrzona w ów blask niespodziany,  
Mysząc: kto też opuści marmurowe ściany?  
Czy panowie błękitni i różowe panie,  
W cukierni słodkich strojów, w rokokowej pianie,  
By, perląc po tarasie jak menuet długi,  
Rozfrunąć się po parku: pawie i papugi...  
Czy też para baranków, bielszych niż obłoki,  
Wyjdzie na płaski taras przez portal szeroki  
I na czarnych racicach ślizgając się w żwirze  
Podbiegnie do posągów i stopy polize?  
Nie — to wyszedł dozorca... Drzewa się kołyszą,  
Białe labędzie szyje smukłe łuki piszą,  
Cały park się kolebie słonecznie, szeroko,  
Pałac odpływa z wolna, jak labędź w szlafroku...

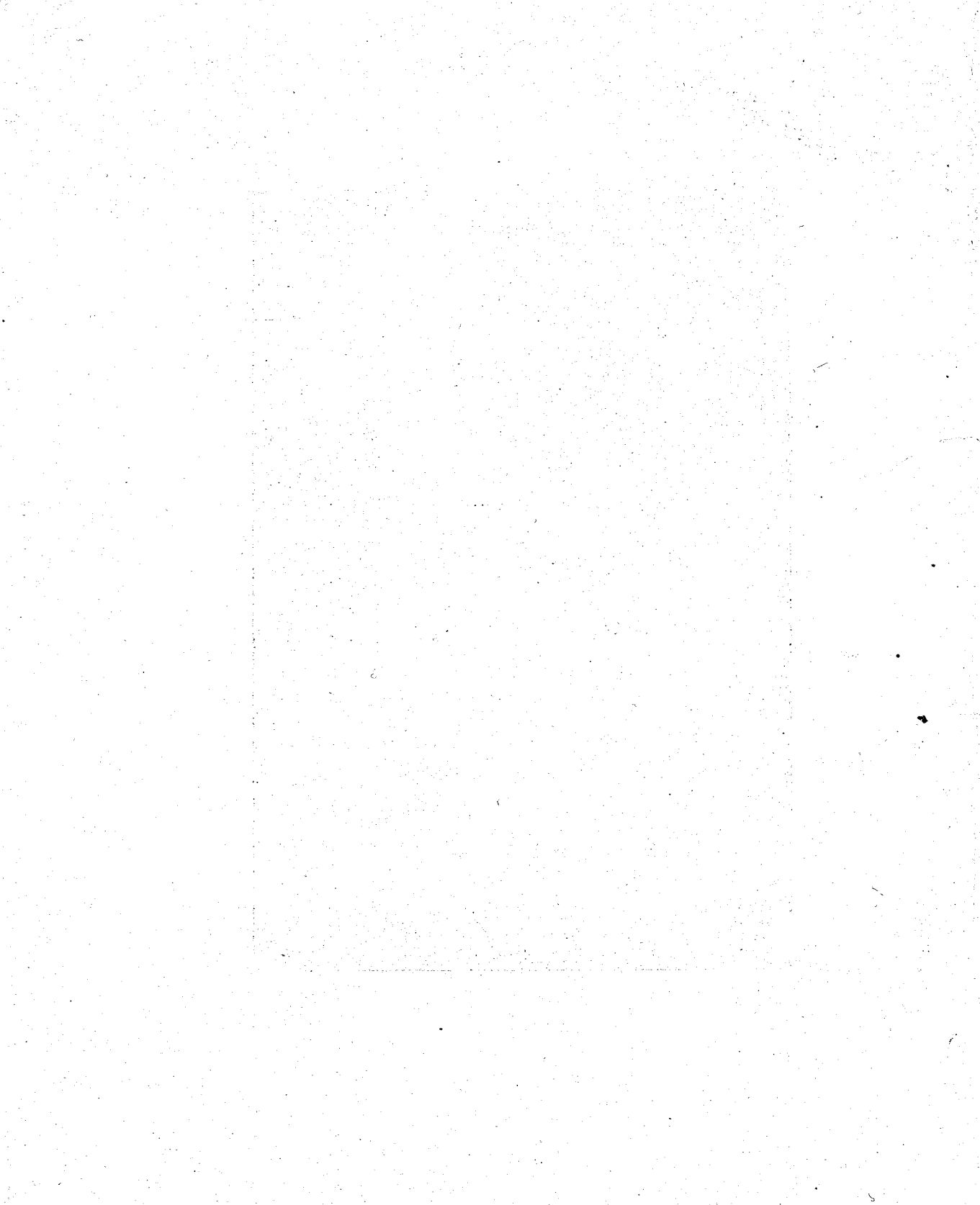
Kiedy wejdiesz do wnętrza ujrzysz zadziwiony,  
Że w źródłanych posadzkach kąpią się plafony.  
Parkiety ci wirują słonecznie i płasko,  
Podpływając pod stopy tym płomiennym blaskom,  
Które wołają przez okno, niż przez drzwi do sali,

I gdy palisandrowych dotkną się spirali,  
A musną geometrje śliskiego hebanu,  
Wnet lekko o powierzchnię spłoszą się lustrzaną  
I zbudziwszy zwierciadła, z odbicia w odbicie,  
Zagrają złotą plamą klaszcząc na suflicie,  
Aż nagle w faldy portjer spłyną smugą jasną,  
Zaplączą się w kotary i lysną i zgasną...  
Jaka to zwinna droga, któż o niej nie powie:  
Tak tylko chadza słońce, albo kochankowie.

Inne pałace miasta, marmurowe cudy,  
Otaczały drewniane stajnie, klitki, budy,  
Pomieszczenia dla koni, bydła i fagasów,  
Ku wygodzie trafniejszej możliwych owych czasów.  
Potym, z tego pospólstwa zlej architektury,  
Wyrosły trzypiętrowe kamieniczne mury,  
Domostwa świeżych mieszczan. Stąd w nowszej dzielnicy  
Często pałac z podwórza, a dom od ulicy,  
I w odrapanym wnętrzu budowli stylowej,  
Warczy pokątny warsztat, czy ruch wre sklepowy.

Lecz niektóre z nich jeszcze żyją jasnym życiem,  
Więc u chłodnych kolumnad sznury aut ujrzycie,  
A przez korony klónów, upiętych cieniście,  
Rzędy okien w ulice jarzą się rzęsiście,  
Krusząc się z blaskiem gmachów, kędy pięter fale





Rozgwieździły już miasto lampozbiorem w dale...

Złamała się Warszawa na wysokiej skarpie,  
Ku Wiśle wartkim brukiem prąd uliczek szarpie,  
I porywa rudery w gęsty tabor zbite,  
Na to życie zatęchłe, deskami poszyte...  
Na te godziny przasne, tłumne i niczyje,  
Kędy wiatr złotym kurzem szare twarze myje...

Wśród tych ruin w lachmanach, jak zamarłe muchy,  
Jacyś w ciżbach bolesnych i w ekstazach głuchych,  
W krajobraz ścian wlepieni sterczą, jak przez wieki.  
Nad nimi płyną dachy, a pod nimi ścieki...

U zaułków szczerbatych, u chodników kusych  
Martwo rosną nad brukiem, jak czarne kaktusy.  
Tworzą wyschłe ukwiały, czy napuchłe krzewy,  
Tacy ślepi na deszcze czy słońca zalewy,  
I tylko, gdy po jezdni turkot gruzów wali,  
Kołyszą się jak rafy... Tak się będą chwiali,  
Wodzili spojrzeniami w zamyszeniu tępym  
Za brukiem hukiem wozów rwącym tentent stępem...

Gdy hałas cały w kurzu zniknie za zakrętem  
Pogasną rozkoleby jak nigdy nietknięte  
I znowu owe tłumy, z okrzykiem kamiennym  
Będą rzeźbić Powiśle milczeniem brzemiennym.

Czy znasz z podróży złotych szkolnej geografji  
Piwnice głębin morskich, poszycia i rafy?  
Pokłady den zielonych, światy stromych dali?  
Groty ciał nieruchomych? Podłogi z koralii?  
...Wszak czytałeś... By potem, strojny w czernie senne  
Zapadać w rybnych wieńcach w słupy wód bezdenne!

Jakże inne dno miasta wiersz mój urealni:  
Wieczór płucze Powiśle siną farbą z pralni,  
Strzępy dachów na niebie suszą się i murach,  
Niby bielizna nędzy sztywna i ponura...  
Z za węglów mrok wyrasta mokrą ścianoroślą,  
Jeszcze domy ómią gwarem, lecz już w szynkach głośno.  
I właśnie z dna rumowisk, ze szczelin podwórka,  
Zapieje gdzieś harmonja tango, czy mazurka  
I nim zdąży z za szyby landrynowa puszka  
Kolorami zadzwonić w dziecięce serduszka,  
Nowa noc jak jezioro wezbrane przyplywem  
Przeleje groble ulic żywołem leniwym.

Gdzieś po ulicy Topiel, jak po miejskiej toni  
Schodzą anioły latarni, każdy z gwiazdą w dłoni,  
I tańczą jednonogie, świecąc w oczy zbliśka  
Parom co tu się snują w miłosnych uściskach,  
Albo śpiewnym pijakom, co o chwiejnym murze  
Stąpają w plamy blasku, jak strojniś w kałuże.

Owe pochody świateł, chwiejne, migotliwe  
Kołują ulicami poprzez gwiezdną niwę,  
Stają przy grobach domów, jak złote gromnice,  
Odwijają z ciemności zamarłe ulice  
I czarnym karnawałem przez sine obszary  
Wychodzą na nadbrzeżne liljowe bulwary,  
By klucząc po zieleńcach jasno i w okolo  
Pluskać światłami w Wiśle z gwiazdami pospołu...

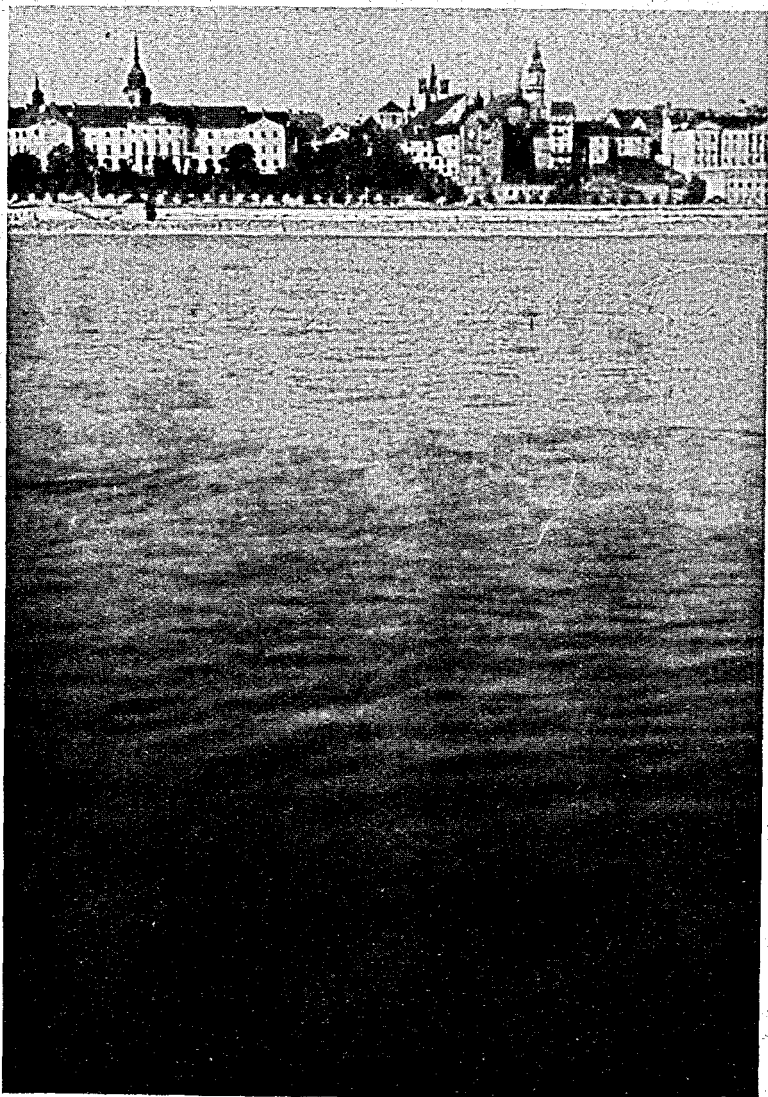
Teraz ludzie Powiśla śpiący tłumem bladych  
W dusznych sypialnych klitkach leżą jak w szufladach...  
Żagle snów ponad niemi bezwietrznie łopocą,  
Jak w ciszy księżycowej przed odjazdu nocą.  
Zaraz bryza marzenia nadmie je z powiewem  
I odpłyną w nieznane z koralowym śpiewem...  
Ku wichrom co wciskają do ust pieśń młodzieńczą,  
Ku falom co wieńcami czoła wysp uwieńczą,  
Pod nieba co się walą podarte w kawały,  
Pod burze co wbijają fregaty na skały,  
Ku łądom palm błękitnych—przez fale i chmury  
Aż ze snów jak z okrętów uciekają szczury...

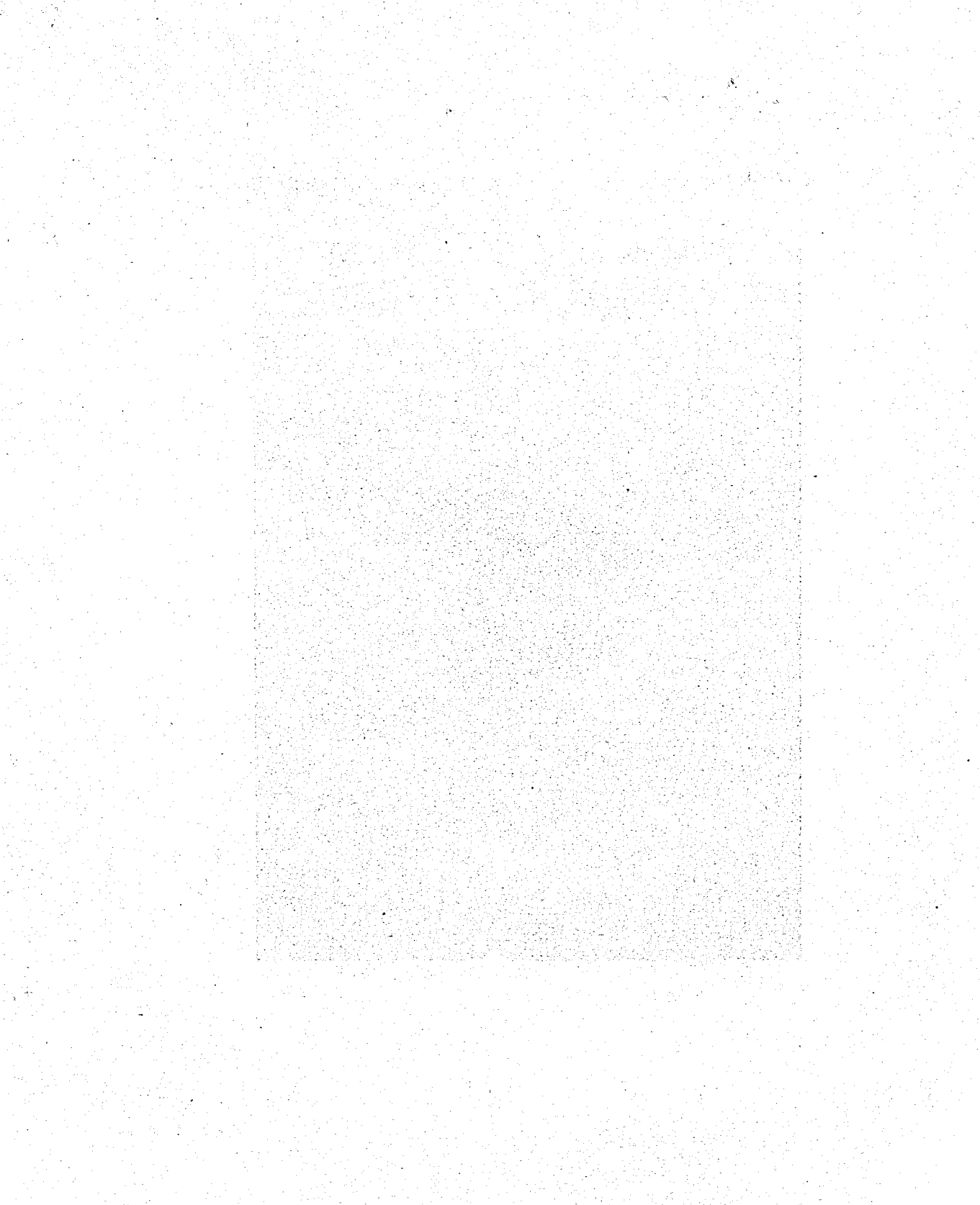
Nim załogi oficyn zmiecie wrząca burza,  
Przez okna czarnym łukiem skaczą na podwórza.  
Szurają na ulice z piwnic i poddaszy  
A tam znów pochód latarni ślepym blaskiem straszy,



Więc tłumem oszalałym, lęku czarną falą,  
Jak bruk brudno-ruchliwe środkiem jezdni wałą  
I wtryskują do rzeki, jak czarne fontanny,  
Rozpluskując w niej gwiazdy oraz nocne panny.

Gdy na wiosenną północ odfruwają śniegi  
Wisła, jak nóż stalowy, rozpruwa swe brzegi.  
Lizę leniwe lody co u mielizn leżą,  
Szarpie za drętwe lapy... Budzi, lecz nie wierzą...  
Odgryza białe kęsy, lyka ostre kartki...  
Wargami fal wypluwa... Prąd je znosi wartki...  
I kry spływają rzeką, jak niebem obłoki,  
Gdy w rozlewnej pogodzie nurt niebieskooki  
Zrazu gęstnieje sino... Choć się gniewem krztusi,  
Nie wybucha stężały... Bowiem spłoszyć musi  
Te zagłówki... Pierzaste... Różowe... Ptaszące...  
Niech odfruną stadami... W podmuchu... W piosence..  
Niech dobiją do brzegu w porcie widnokręgu,  
A wtedy ostre prądy zasrebrzą z potęgą...  
I nim anioły na ląd wysiądą przez burty  
Bukietem polnych wiatrów zawirują nurty.  
Ciężkim, rudym sklepieniem żywił się zachmurzy  
Raz jeszcze trysną barwy...  
i...  
miejsca dla burzy!





O! Tak się właśnie dzieje, ale pytam siebie,  
Czy wszystko to o Wiśle piszę, czy o niebie?  
Wiersz jest tylko zwierciadłem i dlatego myślę:  
Wisła widzi się w niebie, tak jak niebo w Wiśle.

Kry gryząc się i łamiąc arkusze na skrzydłach,  
Mają się ku odlotom na ptasich prawidłach.  
Dniem zerują na Wiśle, zrywają się nocą,  
Wzbijają aż pod księżyc, o pełnię trzepocą,  
Ociekają blaskami i stopniale rano  
Zapadają ku rzece na podróż pijaną.

Kiedy bliżej do słońca, niżli do Warszawy,  
Ostatni karat lodu cały się wylzawi  
I spłynie kroplą Wisły po policzkach morza  
Wody są już niebieskie, wiślane—przestworza...

Jakże złoto wypłynąć jest majową łódką,  
Rozpiąć wiosła jak skrzydła i wstrzymać cichutko...  
Oto Wisła się w sobie przegląda parzyście,  
A w mózgu tak podniebnie, że aż przezroczyście...  
A w uszach szum muszlany, a w ustach swoboda...  
I ta pogoda młoda bodaj jako woda...  
Wtedy ukochanemu śmieje ukochana:  
«Wisła z nocy wypływa, a wpada do rana»...

Co świt czerwcowe słońce lica swe rumiane  
W miednicy nieba nurza po obłoków pianę,  
Plucze różowe włosy, jak wczesna dziewczyna,  
Po czym kokardą Wisły pęk blasków przepina.  
Niechaj furkocze modro! Twarzom dla ochłody,  
Wachlarzom łóz i plażom, plamom martwej wody,  
Liljom żagłówek, z których płatki zdmuchnąć łatwo  
I tej pieśni rybaków, która płynie tratwą...

Niechaj westchnieniem Wisły zaszumią Bielany,  
Witając pęki łodzi, jak bukiet wiślany,  
A ów kościół tym bielszy, że w zielonej górze,  
Jest w żywym krzewie różą rzeźbioną w marmurze;  
Niechaj z lila lekkością nad las wykołysze,  
Odpływając od rzeki w purpurowe cisze  
Zachodu, kędy słońce pękając soczyście  
Połową tonie w niebie, a połową w Wiśle.

Wtedy wieczór z kryp zrywa pośpiewy piaskarzy  
I cieniem granatowym smuży je po plaży...  
Już widnokres poczerniał, wybrzeże poblądło  
Wymięte ciałem tłumu, niby prześcieradło.  
Księżyc wychodzi boso na pomostów deski,  
A wiatr z przezroczystego staje się niebieski.  
Ku rzece rusza miasto twardą murów mustrą,  
By się zapatrzeć w nurty, jak w zamarłe lustro.

Spojrzenie jest kamienne, aż w obu Warszawach  
Pluskają kolje światel, niby w czarnych stawach.

Wisło zielonych nocy, kiedy puste mosty  
Noszą białych topielców, jak prąd wodorosty,  
Twe łodzie już w przystaniach, jak w wazonach kwiaty...

Czarne pióra o brzegi strzępi nurt skrzydlaty...

Powiędły światła miasta i w tym miejscu wiersza  
W listowiu fal zakwitła płynąc gwiazda pierwsza  
Druga... Trzecia... Nareszcie... Wisła je kolebie...

A w tem sierpniowa ryba plusnęła na niebie  
I znikła srebrnym łukiem... Teraz druga... Trzecia...  
Ach! Nocy, w której ryby skaczą przez stulecia...  
A kiedy pragniesz gwiazdy, idź na balkon prędko  
I z sercem na przynętę czatuj chwilę z wędką...

Za świtem świt napływa, aż świat się odmieni  
I z za fal wyjrzą fale, wszystkie ku jesieni.  
W pochmurne stare wody bure deszcze sieką.  
Jakże niebo się ślini z oplakaną rzeką!  
Czyje pogrzeby idą? Kto rozbił zwierciadło?  
Szarą plażę wron stado na strzępy obsiadło.

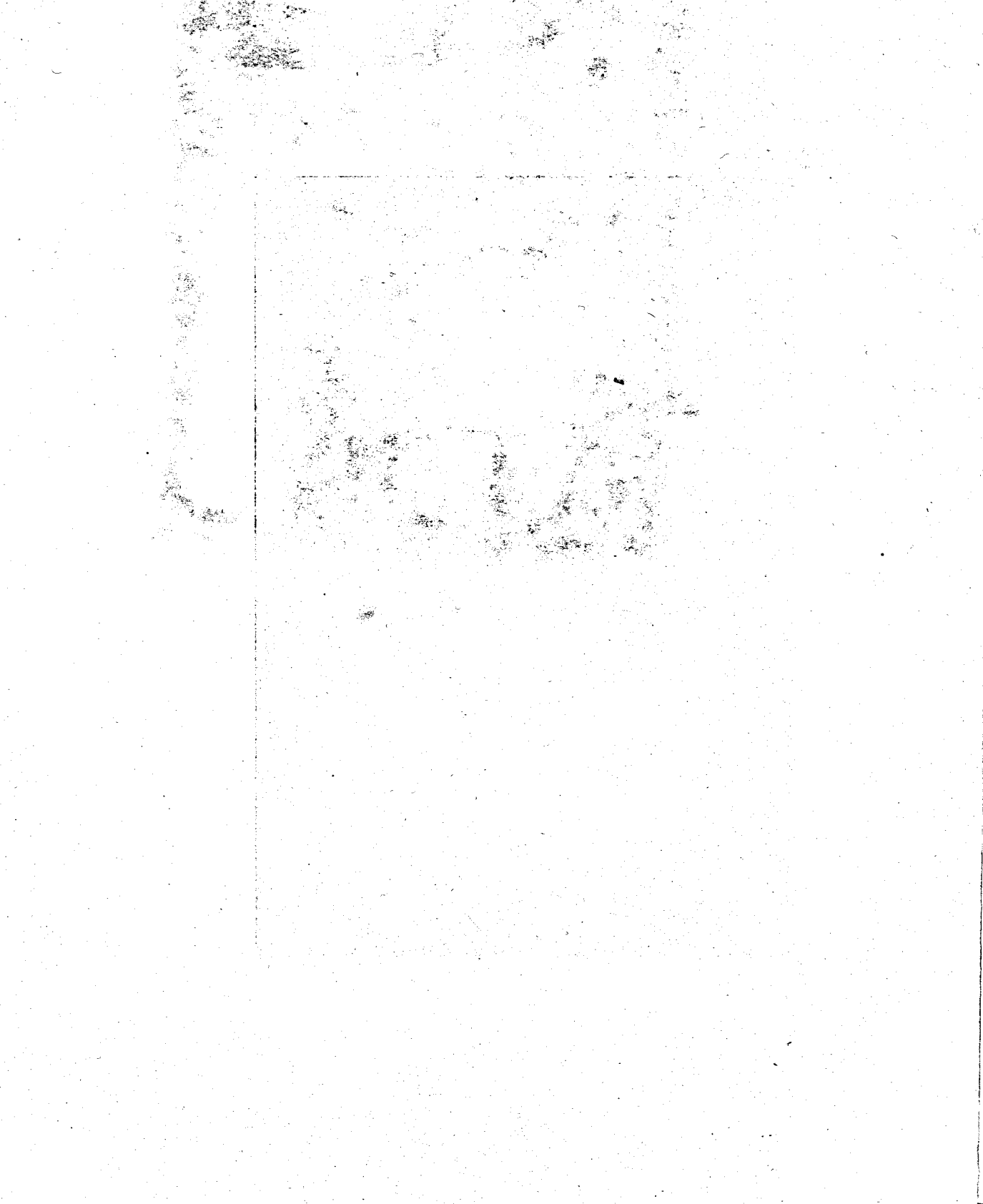
Raz jeszcze błękit tryśnie ku więdnącej Wiśle,  
Raz jeszcze mewa mewę ku Warszawie wyśle,

Raz jeszcze sнопek słomy słońce oknem rzuci,  
Raz jeszcze zatli Wisła i jasno zanuci,  
Raz jeszcze spłynie krypa po deszczowej fali,  
Lecz nikt już nam nie powie, że Wisła się pali...  
Nareszcie zgaszą niebo sfruwające śniegi  
I puszczą kłacze lodów kartoflane brzegi...

Wtedy już krajobrazy miejskie i zimowe  
Wymalują nam blaski ostre, parterowe.  
W głąb ulic się rozjarzy rząd witryn lustrzanych  
Wisząc nad tłumem, niby obrazy na ścianach  
W galerji, gdzie portretów setki i pejzaży,  
Zbitych w gęstwą wzajemnie waśni się i warzy...  
Na jednych pędzel handlu oddał do złudzenia  
Tropikalny krajobraz, kędy w palt zieleniach,  
Węże krawatów, wijąc cienie poprzez blaski,  
Oplatają boleśnie bambusowe laski,  
A na sukienne klomby i roślinne płaty  
Lecą chustki do nosa niby barwne kwiaty...  
Inne martwą naturą grają nam z za witryn:  
Kompozycją bażantów, raków, warzyw, cytryn...  
To znów ujrzymy nagle oszklone portrety  
Mężczyzn wmieszanych szaro w jaskrawe kobiety.  
Nad nimi dym z melodją rozchmurza się gwarnie...  
Tak... To właśnie przez szybę widzimy kawiarnię.







I taka jest stolica, którą czytasz co dnia,  
Jak pobieżną lekturę śpiesznego przechodnia.

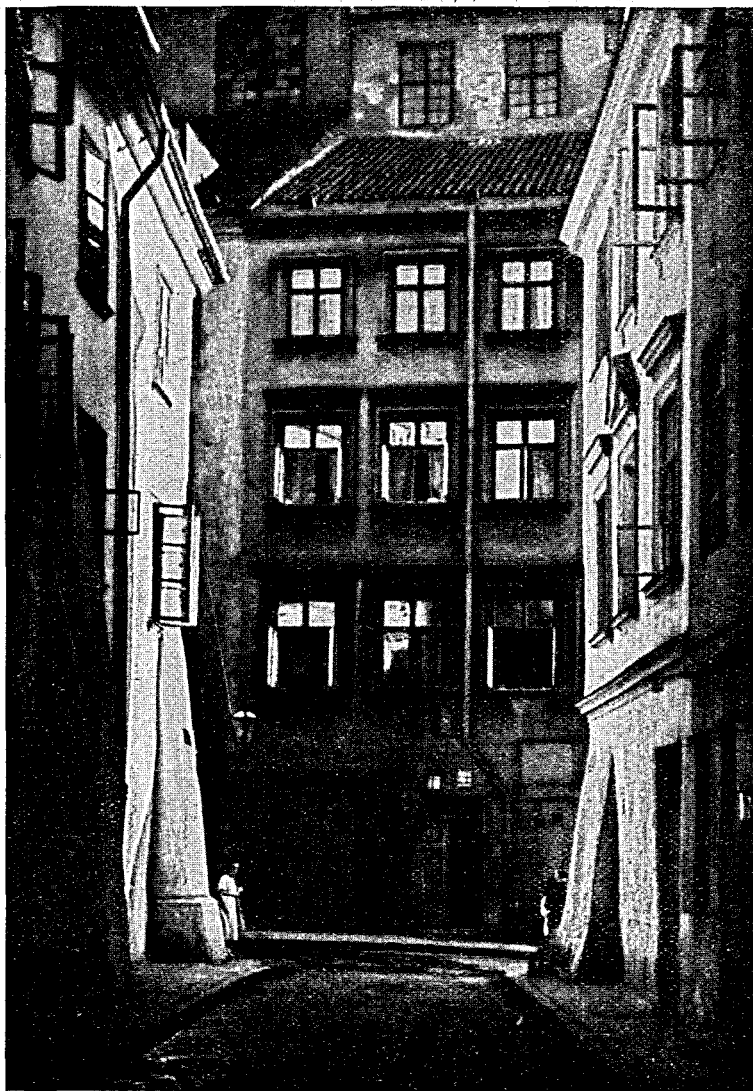
Od tych ulic szerokich, kędy wgląd daleki  
Idziesz ku źródłu miasta, niby w górę rzeki.  
Przeznice coraz węższe, a ich nurt tak żywy,  
Jak w stromym biegu Wisły górzyste dopływy.  
Aż zajdziesz tam, gdzie domów już skaliste brzegi  
Kręte, wartkie uliczki prują niby ściegi,  
A zaułki zawile przybierają pozy,  
To skaczą zygzakami, to tworzą wąwozy,  
Rozdwajają się wzajem, ryją bruk głęboki,  
Kluczą rzeźbą strumieni, tańczą jak potoki,  
Aż wijąc swe łożyska w kamiennym oporze,  
Odetchną Starym Rynkiem, jak fale w jeziorze...

Leniwiej tu ulicom, niż wodom przez stawy,  
Przyłgnij uchem do bruku: cyt... Serce Warszawy...,  
Słyszysz, tętni w pobliżu, bije niby w skroniach,  
Lecz jakże je odnaleźć, żeby unieść w dłoniach?  
Gdzieś kwitnie źródło miasta, gdzieś tętni przeczyste.  
Możesz zerwać je sobie żywe i srebrzyste,  
Lecz gdzie się źródli skrycie, gdzie tajnie się złoci?  
Świętojańskie, słowiańskie jak ów kwiat paproci?

Czy pod lukami sklepień we wnękach kamienic,  
Gdzie wilgoć odczytywał luczywa rumieniec?  
Czyli w ciemnych podcieniach, w zakamarkach wklęsłych,  
Czy w belkowanych stropach, czy w kamiennych przęsłach?  
Może z okien facjatek zwisa nikłym kwiatem,  
Lub w drzwiach ozdobnie kutych kryje się przed światem?  
Bądź pod starymi progi, o których to mówię,  
Że ostrzą, jak oselki, pokoleń obuwie,  
A dziś wślizgnięte wpoprzek sieni lukiem szarym,  
Uginają się jakby pod wspomnień ciężarem?

W gniazdach Baryczków, Gizów, zwiędłych z nutą rzewną,  
Kędy w krużganki wklęty burmistrz Łukasz Drewno  
Błądzi z czarną chorągwią w czerwieni wieczoru  
I wymawia Warszawę od ognia i moru?

Niel! My szukamy głębiej. W mrok piwnic wpatrzeni,  
Ryjemy się w ciemności u miasta korzeni.  
Kamienne korytarze. Lochy dyszą w ciszy.  
Za nami już wybrzeża szczurów, duchów, myszy.  
Brzęczą rdzawe wrzeciędzie rdzą rzeźbione rudą.  
Echo gra w srebrną piłkę ze źródlaną nudą.  
Oto zaskórne miasto. W zamarłej głębinie  
Po zaułkach podziemnych czarna pustka płynie.  
Mijamy ciężkie sklepy, kędy czas się ścina  
I fermentuje w mroku, niby w beczkach wina,





Tworzy bukiety dusznych zmieszanych stuleci,  
Mocno bije do głowy. W mózgu trunkiem świeci.  
Idziemy budząc hurmy żywego hałasu  
Tutaj czas jest przestrzenia, przestrzeń—bryłą czasu.

Tu, w najtajniejszej wnęce, w najgłębszej galerji  
Wypływa tętno miasta, jak z nocnej arterji.  
Patrz! W ciszy omurszalej, pośród rdzy dokoła,  
Leżą zwoje łańcuchów, niby śpiący boal

Milczą ciężką spiralą. My stoimy niemi.

Podnieś te perły tortur, te kolje podziemi,  
Niech się sypią przez palce ziarniście i ślisko,  
Jak żyto poprzez sito na głuche klepisko.  
A kiedy z rąk ci umknie ostatnie ogniwo,  
Do ust pobladych unieś ową dłoń co żywo  
I jeden pocałunek zerwij z wargi bladej,  
By krwi, na pył zakrzepłej, uczcić nikle ślady.

Potem już zawrócimy tajemniczą drogą  
Przez lochy ku piwnicom, przez sienie ku progom,  
Wzniesione mając głowy niechaj każdy kroczy,  
Odurzy nas powietrze, przymrużą się oczy,  
Słońce nam zetrze twarze, światło nas upoi,  
Tak stańmy przed Fukierem. towarzysze moi,

Popatrzmy na te domy, ładne i bez szczyrby,  
Malowane w kogutki, w pisanki i herby,  
Na żółto i w kwiatuszki, na niebiesko — w kreski  
I z ludowym uśmiechem do mieszczańskiej lezki,  
Takie ładnie domyte, tak skupione ściśle —

Westchnijmy i pomyślmy... właśnie to co myślę...

Z brudnych bud Marywilu, ze ścieżek i ścieków,  
Gdzie roilo się ghetto na dnie ciemnych wieków,  
Dyszac w łojowym blasku rybą mdlą i kramem,  
Wyplenilo się wczoraj za Żelazną Bramę,  
Najchciwiej staromiejskie wchłonęło uliczki,  
Na ściany wpelzły gęstwą szyldy i tabliczki.  
Domy odarte z tynku do krwawiącej cegły  
Czarne kipiące tłumy pod dachy zaległy.  
Wylały się w podwórza, klęcząc czerstwe budy  
Z rupieciami, żelastwem, rdzą i kupcem rudym,  
Aż ruchliwym motłochem, szczurzo i bezgwiezdnie  
Zamrowiły, zmieszały chodniki i jezdnie...

Z oblędem handlu w oczach (o nurtach ponurych),  
Jak chmary much kołują, szumią w lepkich murach,  
Fruną juczni paczkami, jakieś wózki pchają  
Pod koła zwinnym autom, na szyny tramwajom...  
I licząc cyfry... daty... zwarjowane sumy...

Do ścian się przyklejają w ekstazach zadumy...

A dopiero w piątkowy podwieczór liljowy,  
Gdy w słodkich izbach sennie kiwiają się głowy,  
Tęsknota płynie ghettem, niby blask po rzece,  
Gaśnie ruch... Elektryczność... Cicho szepcą świece...

Jakże inne na Woli witamy wieczory,  
Zachód słońca ceglaste nosi tu kolory,  
A na drzewcach kominów w błękitne bezmiary  
Furkoczą szare dymy, jak pracy sztandary...  
Z murów czerwonych fabryk na zgrzebne ulice,  
Wychodzą robotnicy, oraz robotnice,  
Ku owym izmom wiejskim u progów Warszawy,  
Kędy wątłym westchnieniem dymi łyżka strawy.

Ach! Wola romantyczna... Legendarna Wola,  
Palcami ulic głaszcze szczere, rude pola,  
Na niskich dachach nosi zapach polnych kwieci,  
A w zaułkach jej księżyc lazi jak ktoś trzeci,  
Maluje krzyż kościoła (co się bieli wsnuty  
W sine gąszcza cmentarza i w stare reduty),  
I płoszy w cień opłotków, w blasku nieustanny,  
Najodważniejszych chłopców i najgładsze panny.

Jeżeli z dniem powszednim porówna się Wolę,  
To święto i Niedziela będzie znów na Kole.



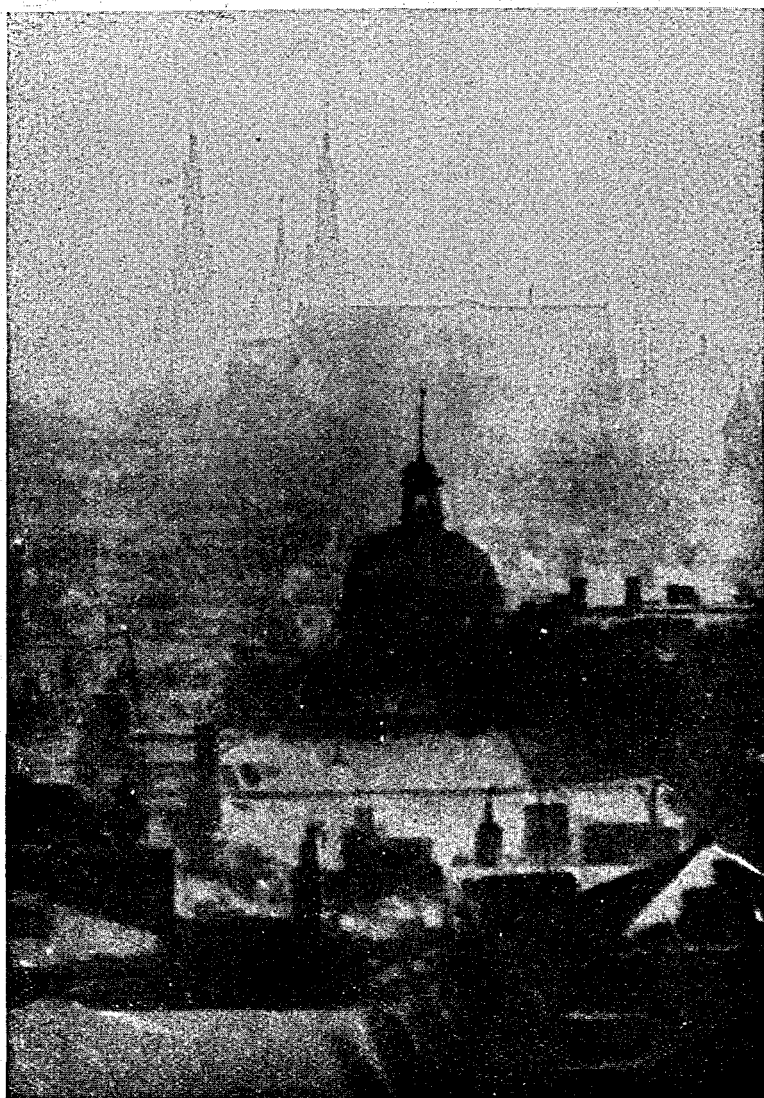
Tutaj wśród pól wyrosły bloki robotnicze,  
Jak miasteczko bez przedmieść... Młode... Malownicze...

W każdym bliźniaczym domu, mieszkanie bliźniacze  
A w każdym z nich bliźniacze okna znów zobaczę,  
I w każdym oknie kwiaty na asfalt uliczek  
Jaskrawo wychylone z bliźniaczych doniczek.  
To osiedle świąteczne... Jeszcze trudu wiele,  
Nim da się dzień powszedni przekuć na Niedzielę...

Uplecie ją się kiedyś z uśmiechów i ziela,  
Niech zielonym weselem ściele się Niedziela.

Oto dzwonom zbudzonym krągło i dosiężnie,  
Kiedy w odświętne serca pluszczą tak mosiężnie.  
Już ciężkie krople dźwięków w powietrza błękicie  
Malują złote kręgi, które wnet ujrzycie,  
Wychodząc na balkony, kiedy dzwony dzwonią...  
A one toczą tony nieba jasną tonią,  
W dale fala po fali płyną od kościołów,  
By kołysać obłoki i skrzydła aniołów...

Już biją w pianę ciszy kulistemi słowy,  
A każdy dzwon katedry ma ton purpurowy,  
A każdy od Trzech Krzyży na ludne ulice,  
Fioletowe kolory smuży przez dzwonnice,  
A każdy, co zaśpiewa u Najświętszej Panny





W pogodne niebo wlewa błękit nieustanny,  
A wreszcie u Wizytek wszystkie wonne dzwony,  
Majowe mają tony o barwie zielonej,  
Jeszcze żółte na Pradze, czerwone na Woli  
I tak wieńcami dzwonów miasto się okoli...

Tęcze dźwięków lukami płyną przez powietrze,  
Aż Niedziela różowe okulary przetrze,  
Na siny nos je włoży i z głębi podwórka,  
Wychodzi biała suknia u boku tużurka.  
Kroczą w sztywnej przechadzce, zrzadka gubiąc słowa,  
Bo wszystkie są zbyt stare, kiedy odzież nowa.

Oto miastem na wylot milczą sobie czysto,  
Aż w połowie milczenia ciszę ich parzystą  
Przerwie ubrany czarno pan, co się ukloni  
I spyta: W którym uchu miastu właśnie dzwoni?

O! Spacery niedzielne... W tę i w tamtą stronę,  
Gdy jezdnie leżą czyste, jak wykrochmalone,  
A z poza martwych witryn bogactwo się piętrzy  
Zapraszając na progi, ale nie do wnętrzy...

Dziś nad soczyste runie, nad sine murawy  
Ku czarnym plamom lasów pomkniemy z Warszawy  
Szosami przez doliny, tnąc piaszczyste wzgórza,

Tam, kędy czerstwa czerwień Czerska się wynurza  
Z zieleni... magią ruin, żywym ciałem cegły  
I baszty niby baby będą murów strzegły,  
A po różowym moście, spiętym ponad fosą,  
Przefrunie stado gęsi, zamek zdobyć boso...

Jak niedzielnie jest leżeć plecami na trawie  
I twarz zanurzać w niebie, niby księżyc w stawie,  
Czytając białe lądy i niebieskie morza  
W geografii obłoków, jak w mapie przestworza.  
Wtedy wieńcem spokoju święto chłodzi czoło  
I roślinnie jest sercom, a serdecznie ziołom...

Wróćmy teraz do miasta w ciszy popołudnia,  
Kędy jasne stadiony gęsty tłum zaludnia,  
Patrząc, jakto efebi, strojni jeno w piękno,  
Z klaszczącymi dyskami na boisku klękają,  
Lub włócząc oszczepami biorą rozpęd ścigły,  
By przeszyły obłoki, jak świszczące igły,  
Czy kiedy to poprzeczki, niby drzwi zamknięte  
Przekręcą kluczem skoku — i drzwi odemknięte,  
Lub też kwitnąc nad tyczek wykwit strzelistości,  
Leżą lekko, na dwoje łamiąc punkt ciężkości..

Kiedy inni nad bieżnią w pędzie, co uśmierca  
Fruną siekąc stopami pod tańczące serca,

Aż taśma mety piersi pierwszego spowija,  
A wtedy pęd od wszystkich nagle się odwija,  
I naraz tłum, zawarty w trybun czarnych ramach  
Zaszumi, niby żywiol w otworzonych tamach.

I oto pustoszeją różowe stadiony,  
Dopala się niedziela. Zgasły złote dzwony.  
Powiew wiatru spowija snem czerskie ruiny.  
Księżyc, turysta nocy, je zwiedza jedyny,  
A ze sztywnych przechadzek na sine podwórka  
Powraca biała suknia u boku tużurka.

Ach wyjdźcie na tarasy i podnieście głowy,  
Jaki ten skrawek nieba jest seledynowy,  
Kiedy ostrym spojrzeniem z nad dachów kamienic  
Rymuje się z błękitem zapatrzonych źrenic,  
A już dzień elektryczny właśnie zapalony  
I niebo się na wylot leje przez neony...

A jutro, gdy Warszawa zbudzi się jutrzejsza,  
Będzie o noc bogatsza i o dom liczniejsza,  
Bo codzien gmach wyrasta, a co kilka godzin  
Młode, dziewicze piętro jest dla młodych rodzin  
I co minutę tutaj, spod świeżej budowy,  
Na nowego człowieka pokój czeka nowy...

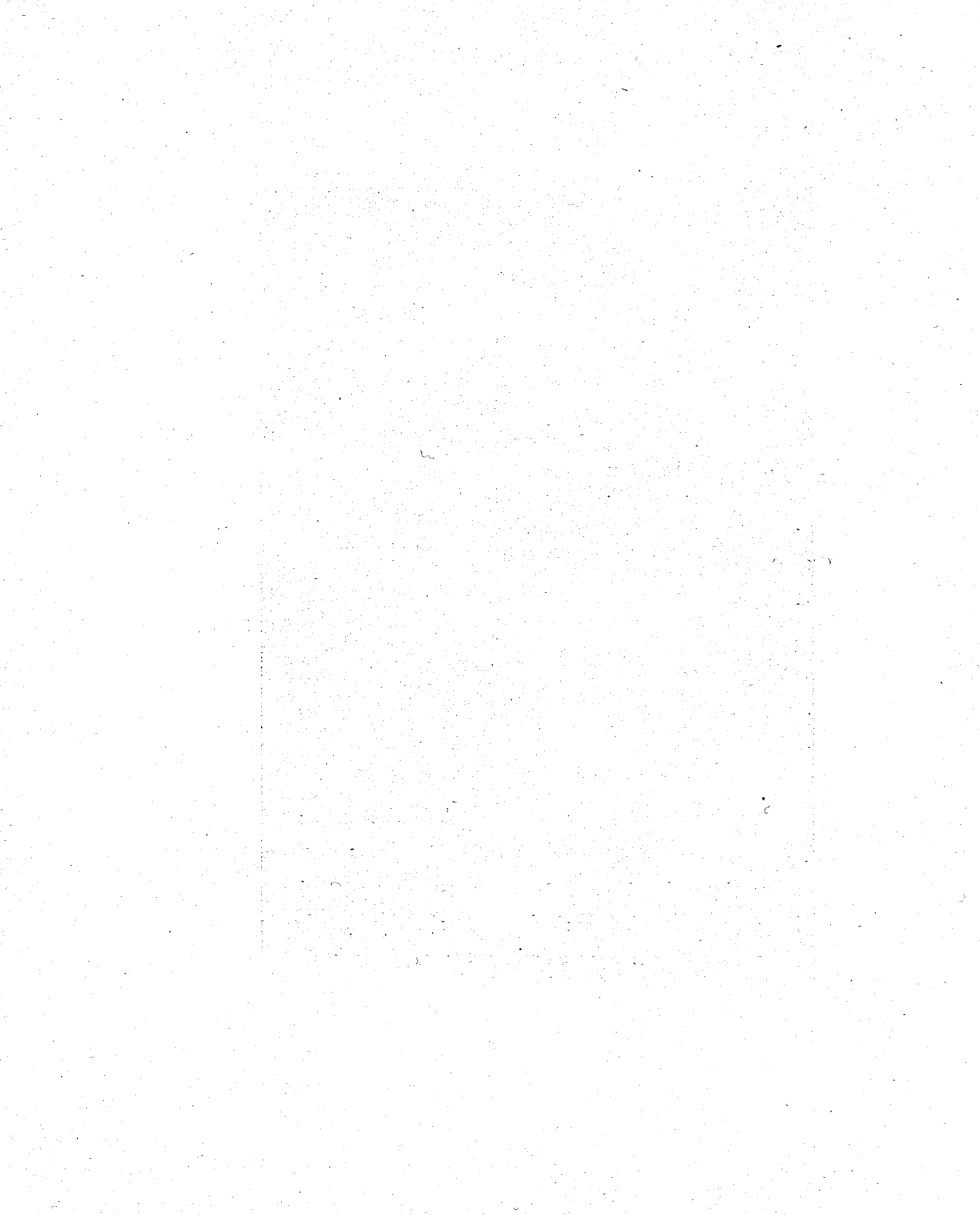
Jest miejsce kędy wille schodzą między łąki,  
Tramwajom mazowieckie wtórują skowronki,  
Ze sklepików spożywczych frunąc za ogrody  
Gęsi, z kwiatami w dziobach, płoszą samochody,  
Ku szosie schodzą domy, a ulice — w pole.  
Na metry tu sprzedają kartoflaną rolę.  
Albo na placach żyto faliście dojrzewa,  
Wieś pachnie gwarem miasta, miasto—wieś owiewa,  
Wieśniacy wiozą wiosnę w śpiewających wozach,  
Aż nikną w turniach miasta, jak w skalnych wąwozach...

Porzucmy ten krajobraz chwilą malowany,  
Rozwińmy biały rulon i spójrzmy na plány,  
Na arkusze projektów, przekroje i szkice.  
Tu właśnie mamy stworzyć wzorową dzielnicę.

Gdy się owe pagórki wyrówna jak stoły,  
Praca zamrowi pola. Buchnie ruch wesoly.  
Jak nad powierzchnią stawu, gdy kto palcem pisze,  
Wnet leniwe dno wody też się zakolysze —  
Tak tutaj, kiedy wiejską zedrzemy nawierzchnię  
Z najgłębszych wnętrzy ziemi wieczny spokój pierzchnie.  
Zadrzą gluche pokłady i groty podziemne,  
Pieczary pełne glazów i złoża wapienne,  
Zarysują się skały, a zaskórne wody  
Wytrysną lykać rowy, rwać świeże przewody.







Lecz my w żelaznych ryzach zawrzemy żywioly  
I studniami wykopów pójdzie śpiew wesoly,  
Żeby pod przyszłe miasto wdrać w głębę ciemną  
Świat kabli, rur i ścieków — ową sieć podziemną...

A na tych kartofliskach, co gasną w wieczorach,  
Staną place z asfaltu — pancierz na ugorach.  
Przez te łąki, co mgłami srebrzą okolice,  
Wyprasuje się w ogniu słoneczne ulice.  
W pulchne grzędy, co nikły niosły plon co roku,  
Fundamenty się wryją, jak groby głęboko.  
A tam, gdzie groch po tyczkach wil się nam do góry,  
Rusztowania otoczą wzrastające mury.

Na tę symfonię pracy, na ten koncert żyzny  
Wagony materiałów! I dni robocizny!  
Aż spadną rusztowania i z tumanów kurzu  
Sześciiany szklanych domów nagle się wynurzą.

Wtedy od progów nowych aż po krawężniki  
Rozbarwi się kwietniki, uładzi trawniki  
I zasadzi się drzewa z cieniem u korony:  
Na uwięzi z konarów zielone balony.

Na tych zieleńcach prostych, w owych szklanych ścianach  
Zamieszka inne życie, czyste jak na planach,

A te dzielnice—dla Was pokolenia nowe,  
Których przyrost witamy jako rozbudowę,  
Tutaj przez dnie bez cienia i nocę bez grzechów  
Zamieszkacie parami obok swych uśmiechów.

O, buduj się Warszawo! Z rozmachem. Szeroko.  
Widnokręgom po brzegi. Pod stopy obłokom.  
A my, wczorajsi ludzie, niemodni i mali,  
Zostaniemy w dzielnicach, któreśmy kochali.  
Na Starym Mieście, Piwnej, Bednarskiej, czy Hożej,  
Tu żyła nasza młodość i starzec niezgorzej.  
Nam dzisiaj ku jesieni. Z wiosny będzie wiele,  
Jeżeli do Łazienek pójdziemy w niedzielę,  
W słomianych kapeluszach, spojrzeć dla ochłody,  
Jak to różowe dzieci lubią złote lody.

Dla nich na rusztowaniach stoją dziś murarze  
I ku słońcu zwracają ogorzale twarze,  
Kładąc cegłę do cegły, aż dom rośnie warstwą,  
Budując dla warstw nowych młode gospodarstwo.

Śpiewajcie pieśń tworzenia młodzi robotnicy,  
Murujcie nam stolicę na skrajach stolicy.  
Tnijcie szerokie jezdnie, jak dojrzałe rzeki,  
Kędy wgląd jest westchnieniem i gdzie brzeg daleki,  
Niechaj niebo zamieszka przy miejskich istnieniach,

Niech po pas brodzą w kwiatach i toną w zieleniach.

Wmurujcie uśmiech w ściany, by w nich musiał gościć,  
«Pół świata czcic was będzie... Drugie pół zazdrościć».



... ..  
... ..  
... ..  
... ..

FOTOGRAFIE  
TADEUSZA PRZYPKOWSKIEGO

№ 215.....

ODBITO 500 EGZEMPLARZY NUMEROWANYCH  
NA PAPIERZE RĘCZNIE CZERPANYM I 3.300  
EGZEMPLARZY NA BEZDRZEWNYM PAPIERZE  
MIRKOWSKIM W DRUKARNI NAUKOWEJ  
TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO W WAR-  
SZAWIE, RYNEK STAREGO MIASTA 11

# POD ZNAKIEM POETÓW

WYDAWNICTWA J. MORTKOWICZA

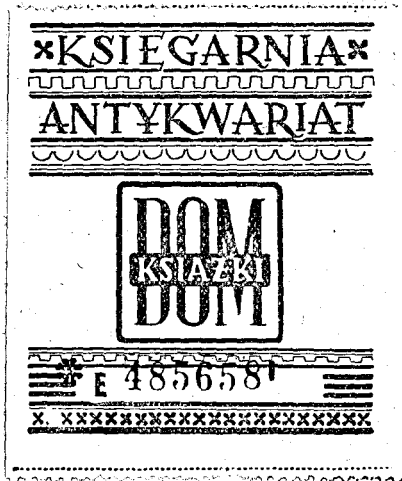
	złotych
BALIŃSKI STANISŁAW — Wieczór na Wschodzie . . .	2.—
ILŁAKOWICZÓWNA KAZIMIERA — Zwierciadło nocy . . .	3.50
IWASZKIEWICZ JAROSŁAW — Lato 1932 . . .	2.—
JASNORZEWSKA (Pawlikowska) M. — Balet powojów . . .	2.—
— Krystalizacje . . . . .	2.50
— Śpiąca załoga . . . . .	2.—
KASPROWICZ JAN — Księga ubogich. Wydanie V . . .	3.—
LECHOŃ JAN — Karmazynowy poemat. Wydanie III . . .	2.—
— Srebrne i czarne. Wydanie II . . . . .	2.—
LESMIAN BOLESŁAW — Łąka. Wydanie II . . . . .	5.—
— Napój cienisty . . . . .	6.—
TUWIM JULJAN — Biblia cygańska. Wydanie II . . .	3.—
— Czyhanie na Boga. Wydanie IV . . . . .	4.50
— Rzecz czarnoleska. Wydanie II . . . . .	4.—
— Siódma jesień. Wydanie III . . . . .	3.50
— Sokrates tańczący. Wydanie IV . . . . .	4.—
— Treść gorejąca. Wydanie II . . . . .	3.—
WIERZYŃSKI KAZIMIERZ — Gorzki urodzaj . . . . .	3.—
— Laur Olimpijski. Wydanie VI . . . . .	2.—
— Pieśni fanatyczne . . . . .	3.—
— Rozmowa z puszcza . . . . .	3.—
— Wiosna i wino. Wydanie IV . . . . .	3.—
STAFF LEOPOLD — Barwa miodu . . . . .	3.—
— Ucho igielne. Wydanie IV . . . . .	4.—
— Wysokie drzewa . . . . .	4.—

## W DRUKU:

LESMIAN BOLESŁAW — Dziejba leśna

WIERZYŃSKI KAZIMIERZ — Kurhany

BRZECHWA JAN — Wiersze o Marszałku Piłsudskim  
(z ilustracjami E. Bartłomiejczyka).



Lublin, 22. 8. 46.